

Paulo Coelho

Jedenaście minut

Dwudziestego dziewiątego maja 2002 roku, kilka godzin przed ukończeniem tej powieści, pojechałem do Lourdes we Francji, by zaczerpnąć trochę wody z cudownego źródła. Byłem już na placu przed bazyliką, gdy pewien starszy pan zwrócił się do mnie: „Czy pan wie, że jest podobny do Paula Coelho?”. Odpowiedziałem mu, że jestem Paulem Coelho. Wtedy uściśnął mnie serdecznie, przedstawił mi swoją żonę i wnuczkę, po czym wyznał, że moje książki są dla niego bardzo ważne. „Pozwalają marzyć” - podsumował. Bardzo często słyszałem to zdanie z ust moich czytelników i zawsze sprawiało mi wielką przyjemność. Jednakże w tamtej chwili odczułem żywe zaniepokojenie - wiedziałem, że *Jedenaście minut* porusza temat delikatny, kłopotliwy, szokujący. Podeszedłem do źródła, zaczerpnąłem trochę cudownej wody, po czym zapytałem tego pana, gdzie mieszka (na północy Francji, w pobliżu belgijskiej granicy), i zapisałem jego nazwisko.

Tę książkę dedykuję Panu, Maurice Gravelines. Moją powinnością wobec Pana, Pańskiej żony, wnuczki i wobec samego siebie jest mówić o tym, co dla mnie ważne, a nie o tym, co wszyscy chcieliby usłyszeć. Niektóre książki rozbudzają nasze marzenia, inne przywołują nas do rzeczywistości, lecz każda winna odzwierciedlać to, co dla pisarza najistotniejsze: uczciwość pisania.

*Jestem pierwszą i ostatnią,
Czczoną i nienawidzoną,
Jestem świętą i ladacznicą.
Małżonką i dziewicą.
Jestem matką i córką.
Ramieniem mojej matki jestem,
Bezpłodną, lecz moje potomstwo jest niepoliczone.
Zamężną i panną jestem,
Jestem tą, która daje dzień i która
Nigdy nie wydała potomstwa.
Pocieszeniem w bólach porodowych jestem.
Jestem mężem i żoną.
Mąż mój do życia mnie powołał.
Matką swego ojca jestem,
Męża swego siostrą, on zaś synem moim odrzuconym.
Cześć mi oddawajcie,
Gdyż ja jestem gorszącą i wspaniałą!*

Hymn na cześć Izydy, III lub IV wiek n.e. odnaleziony w Nag Hamadi

[tłum. Elżbieta Janczur]

Była sobie raz prostytutka Maria.

Chwileczkę. „Była sobie raz...” to najlepszy sposób, by rozpocząć bajkę dla dzieci, a o prostytutkach rozmawia się tylko między dorosłymi. Jak można rozpoczynać książkę od takiej oczywistej sprzeczności? No ale skoro w każdym momencie naszego życia jedną nogą tkwimy w świecie baśni, a drugą w otchłani piekieł, zachowajmy ten początek.

Była sobie raz prostytutka Maria.

Nikt nie rodzi się prostytutką. Jako dziecko była uosobieniem niewinności, a dorastając marzyła, że spotka mężczyznę swojego życia (bogatego, pięknego, inteligentnego), wyjdzie za niego za mąż (w białej sukni z welonem), będzie mieć z nim dwoje dzieci (które staną się sławne), zamieszka w pięknym domu (z widokiem na morze). Jej ojciec był komiwojażerem, a matka krawcową. W rodzinnym miasteczku w brazylijskim Nordeste było tylko jedno kino, jedna restauracja i jeden oddział banku. A jednak Maria z utęsknieniem wyczekiwała dnia, w którym księżę z bajki pojawi się tu nagle, by ją oczarować i zabrać ze sobą na podbój świata.

Ale ponieważ księżę z bajki się nie pojawiał, nie pozostawało jej nic innego, jak marzyć. Po raz pierwszy zakochała się, kiedy miała jedenaście lat. Zobaczyła tego chłopca w drodze na rozpoczęcie roku szkolnego. Okazało się, że mieszka w sąsiedztwie i chodzi do tej samej szkoły. Nie zamienili ze sobą ani słowa, ale Maria spostrzegła, że najbardziej lubi te chwile w ciągu dnia, kiedy słońce praży najmocniej, a ona spragniona i zadyszana z trudem dotrzymuje kroku żwawo idącemu chłopcu.

Trwało to przez wiele miesięcy. Maria, która nie przepadała za nauką i całe dnie spędzała przed telewizorem, zapragnęła nagle, by czas płynął jak najszybciej. Nie mogła doczekać się poranka, wyjścia do szkoły i w przeciwieństwie do swych rówieśniczek uznała weekendy za śmiertelnie nudne. Jednak dzieciom czas płynie o wiele wolniej niż dorosłym. Maria cierpiała, a dni dłużyły się jej niemiłosiernie, bo mogła dzielić z ukochanym tylko dziesięć minut, tysiące innych zaś spędzała na rozmyślaniach o nim i wyobrażaniu sobie, jak by to było cudownie, gdyby mogli ze sobą porozmawiać.

Aż pewnego ranka chłopak podszedł do niej i poprosił, by pożyczyła mu ołówek. Maria wzruszyła ramionami i nie odezwała się ani słowem. Udała, że jest zagniewana zaczepką, i przyśpieszyła kroku. Tak naprawdę kiedy zobaczyła, jak ukochany kieruje się w jej stronę, była przerażona. Bała się, że wszystko wyjdzie na jaw. To, że go skrycie kocha, że czeka na niego, że marzy, by wziąć go za rękę, minąć szkolną bramę i pójść z nim w świat, tam gdzie, jak mówiono, znajdują się wielkie miasta, bohaterowie powieści, artyści, samochody, liczne sale kinowe i mnóstwo rzeczy do odkrycia.

Na lekcjach przez cały dzień była rozkojarzona. Złościła się na swoje niedorzeczne zachowanie, ale i cieszyła, że chłopiec również ją zauważył. Gdy podszedł blisko, dostrzegła pióro wystające z jego kieszeni. Ołówek był więc tylko pretekstem, by zacząć rozmowę. Tęskniła za tym chłopcem. Tej nocy - i podczas następnych - zaczęła układać sobie w duchu odpowiedzi, jakich mogłaby mu udzielić. Gorączkowo poszukiwała takiej, która stałaby się początkiem ich wielkiej miłości.

Ale on już nigdy więcej się do niej nie odezwał. Nadal widywali się w drodze do szkoły. Maria nieraz szła kilka kroków przed nim, trzymając ołówek w prawej ręce, a niekiedy za nim, by móc się mu przyglądać z czułością. Lecz pozostawało jej jedynie kochać i cierpieć w milczeniu aż do końca roku szkolnego.

Podczas wakacji, które wydawały się nie mieć końca, obudziła się pewnego ranka z udami poplamionymi krwią i wpadła w rozpacz. Pomyślała, że umiera. Postanowiła zostawić chłopcu list pożegnalny, w którym wyznałaby mu swoją wielką miłość, a następnie zapuścić się na pustkowie i wydać na pastwę wilkołaka czy bezgłowej mulicy, dzikich bestii, które budziły postrach wśród okolicznych wieśniaków. Rodzice nie oplakivaliby jej śmierci. Ubodzy nie tracą wiary pomimo tragedii, których nie szczędzi im los. Uznaliby, że została porwana przez zamożną, bezdzietną rodzinę i że powróci pewnego dnia w aureoli sławy i bogactwa. Natomiast obecnej (i dozgonnej) miłości jej życia nie udałoby się o niej zapomnieć. Chłopak każdego dnia wyrzucałby sobie, że już nigdy więcej się do niej nie odezwał.

Nie napisała jednak listu, gdyż matka weszła do pokoju, zobaczyła pokrwawioną pościel, uśmiechnęła się i powiedziała: „Teraz już jesteś panną, moja mała”.

Maria była ciekawa, jaki związek ma krew, która wyciekała spomiędzy jej nóg, z byciem panną, lecz matka nie umiała jej tego wyjaśnić. Zapewniła tylko, że to całkiem normalne i że odtąd będzie musiała nosić podpaskę nie większą niż poduszka dla lalki przez cztery albo pięć dni w miesiącu. Maria zapytała, czy mężczyźni używają rurki, aby krew nie poplamiała im spodni, lecz usłyszała, że to się przydarza tylko kobietom.

Żaliła się Bogu, ale w końcu pogodziła się z miesiączkami. Nie pogodziła się jednak z nieobecnością chłopca i wciąż wyrzucała sobie własną głupotę, przez którą szczęście umknęło jej sprzed nosa. W przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego weszła do jedynej w jej mieście kościoła i przyrzekła świętemu Antoniemu, że pierwsza odezwie się do chłopca.

Następnego dnia wyszykowała się pięknie, włożyła nową sukienkę, którą matka uszyła specjalnie na tę okazję, i wyszła, dziękując Bogu, że wakacje wreszcie dobiegły końca. Ale chłopiec się nie pojawił. Minał kolejny tydzień pełen obaw, zanim Maria usłyszała, że

wyjechał z miasta.

„Wyjechał gdzieś daleko” - poinformował ją któryś z kolegów.

W ten sposób Maria dowiedziała się, że można coś utracić na zawsze. Dowiedziała się również, że istnieje miejsce zwane „daleko”, że świat jest ogromny, a jej miasto małe i że ludzie najbardziej godni uwagi zawsze w końcu z niego wyjeżdżają. Ona też chciała wyjechać, ale była na to jeszcze za młoda. Patrząc na zakurzone ulice rodzinnego miasta przyrzekła sobie, że pewnego dnia wyruszy w ślad za chłopcem. Przez dziewięć kolejnych piątków, zgodnie z miejscową tradycją, przystępowała do komunii i modliła się żarliwie do Matki Boskiej, by pewnego dnia pomogła jej się stąd wyrwać.

Przez jakiś czas była przygnębiona, bo nie mogła natrafić na ślad chłopca. Nikt nie wiedział, dokąd wyprowadzili się jego rodzice. W końcu uznała, że świat jest zbyt wielki, miłość niebezpieczna, a Matka Boska zbyt wysoko w niebie, aby wsłuchiwać się w prośby dzieci.

Minęły trzy lata. Uczyła się geografii i matematyki, śledziła seriale w telewizji, potajemnie oglądała pisma erotyczne. Zaczęła prowadzić pamiętnik, w którym skarżyła się na swoją monotonną egzystencję i dawała upust pragnieniu poznania tego wszystkiego, o czym się uczyła - oceanu, śniegu, ludzi noszących turbany, eleganckich kobiet obsypanych biżuterią... Nie da się jednak żyć tylko marzeniami - zwłaszcza gdy ma się matkę krawcową i ciągle nieobecnego ojca. Maria szybko pojęła, że powinna zwracać baczniejszą uwagę na to, co się dzieje wokół. Uczyła się pilnie, by jakoś dać sobie radę w życiu, szukała bratniej duszy, kogoś z kim mogłaby dzielić marzenia o wielkich przygodach. Gdy miała piętnaście lat, zadurzyła się w młodzieńcu, którego spotkała na procesji podczas Wielkiego Tygodnia.

Nie powtórzyła błędu z dzieciństwa. Nawiązali znajomość, zostali przyjaciółmi, chodzili razem do kina i na tańce. Po raz wtóry stwierdziła, że miłość kojarzy się bardziej z nieobecnością niż z obecnością ukochanej osoby: wciąż brakowało jej chłopaka, całymi godzinami wyobrażała sobie, co mu powie na następnej randce, i rozpamiętywała każdą wspólnie spędzoną chwilę. Lubiła uchodzić za dziewczynę z doświadczeniem, która przeżyła już wielką miłość i zaznała bólu rozłąki. Była teraz zdecydowana walczyć z całym siłą o tego młodego mężczyznę: to dzięki niemu zostanie żoną, matką i zamieszka w domu z widokiem na morze.

- Córeczko, jeszcze na to za wcześnie - mitygowała ją matka, słuchając o tych planach.

- Ale przecież kiedy ty wychodziłaś za ojca, miałaś szesnaście lat!

Matka, nie chcąc wyjawic, że stało się tak z powodu nieplanowanej ciąży, sięgnęła po

odwieczny argument: „w tamtych czasach było inaczej”.

Któregoś dnia wybrali się na spacer za miasto. Długo rozmawiali, a kiedy Maria spytała go, czy ma ochotę podróżować po świecie, nie odpowiedział, tylko wziął ją w ramiona i pocałował.

Był to jej pierwszy pocałunek w życiu. Od dawna marzyła o tej chwili! Krajobraz był urzekający - czaple w locie, zachód słońca, surowe piękno niemal bezludnej okolicy i dźwięki muzyki dobiegające z oddali. Maria przytuliła się do chłopca i zrobiła to, co tyle razy widziała w kinie i w telewizji: dość gwałtownie potarła ustami o jego usta, poruszając głową z boku na bok. Poczula, że język chłopca dotyka jej zębów i było to rozkoszne.

Nagle przestał ją całować.

- Chcesz? - zapytał.

Cóż miała mu odpowiedzieć? Że chce? Oczywiście, że chciała! Lecz uważała, że kobieta nie powinna oddawać się pochopnie, zwłaszcza przyszłemu mężowi, gdyż przez resztę życia mógłby sądzić, że na wszystko łatwo się godzi. Wolą nie mówić nic.

Znów wziął ją w ramiona, tym razem już z mniejszym zapalem. I znów zeszytywniał, czerwieniąc się jak burak. Maria czuła, że coś jest nie tak, lecz nie śmiała o to zapytać. Wzięła go za rękę i wrócili do miasta, rozmawiając o błahostkach, jakby nic się nie stało.

Tego wieczoru, pewna, iż doszło do czegoś poważnego, zapisała starannie dobranymi słowami w swoim pamiętniku:

Gdy spotykamy kogoś i zakochujemy się, myślimy, że cały wszechświat nam sprzyja. Tak jak dziś o zachodzie słońca. Ale jeżeli coś nie pójdzie po naszej myśli, wszystko rozpryskuje się niczym bańka mydlana i znika! Czaple, muzyka w oddali, smak jego ust. Jak piękno, które istniało chwilę wcześniej, może rozproszyć się tak szybko?

Życie płynie bardzo prędko: przenosi nas z raju w otchłanie piekieł, w ciągu paru sekund.

Następnego dnia spotkała się z przyjaciółkami. Wszystkie widziały, jak przechadzała się pod rękę ze swym „ukochanym”. W końcu przeżyć wielką miłość to nie wszystko. Trzeba jeszcze sprawić, by inni wiedzieli, że jest się osobą bardzo pożądaną. Koleżanki były ciekawe, co się wydarzyło, a Maria, dumna jak paw, oświadczyła, że najlepszy był język muskający leciutko jej zęby. Jedna z dziewcząt wybuchnęła śmiechem.

- Nie otworzyłaś ust?

- Po co?

- Żeby wpuścić jego język. - A co to za różnica?

- No bo tak się całuje.

Tłumiony chichot, niby współczujący wyraz twarzy, cicha zemsta dziewcząt, które nigdy nie miały sympatii. Maria robiła dobrą minę do złej gry. Zanosila się śmiechem, choć w głębi duszy gorzko łkała. Przeklinała w myślach wszystkie filmy, które nauczyły ją zamykać oczy, przytrzymywać jedną ręką głowę partnera i kręcić głową na wszystkie strony, ale nie pokazały tego, co naprawdę istotne. Znalazła odpowiednią wymówkę (nie chciałam mu się oddawać od razu, bo nie byłam pewna, ale teraz wiem, że to mężczyzna mojego życia) i czekała na następną okazję.

Gdy trzy dni później na miejskiej zabawie ponownie zobaczyła chłopca, trzymał już za rękę jedną z jej przyjaciółek, tę samą, z którą rozmawiały o pocałunku. Maria udawała, że sływa to po niej jak woda po kacze. Trzymała się dzielnie do końca wieczoru. Plotkowała z koleżankami. Udawała, że nie widzi litościwych spojrzeń, które rzucały jej ukradkiem. Jednak po powrocie do domu nie mogła powstrzymać łez. Jej świat runął. Przeplakała całą noc. Cierpiała przez osiem miesięcy i doszła do wniosku, że miłość nie jest stworzona dla niej ani ona do miłości. Postanowiła wstąpić do zakonu, poświęcić resztę życia miłości do Boga, miłości, która nie pozostawia bolesnych ran w sercu. W szkole usłyszała o misjonarzach działających w Afryce i uznała, że to najlepszy sposób na życie dla kogoś, kogo ziemskie uczucia tak gorzko rozczarowały. Chciała zostać zakonnica, nauczyła się udzielać pierwszej pomocy (podobno w Afryce umierało wielu ludzi), gorliwie uczestniczyła w lekcjach religii. Zaczęła sobie wyobrażać siebie jako świętą nowożytnych czasów, świętą ratującą ludzkie życie, zapuszczającą się śmiało w niebezpieczny busz pełen lwów i tygrysów.

Kiedy miała piętnaście lat, umiała już całować z otwartymi ustami i wiedziała, że miłość jest głównie źródłem cierpienia. Pewnego dnia, gdy czekała na powrót matki, przypadkiem odkryła masturbację. Już w dzieciństwie oddawała się tej przyjemności - do dnia gdy przyłapał ją na tym ojciec i przyłapał jej kilka razy, nie siląc się na żadne wyjaśnienia. Maria nigdy nie zapomniła lania. Nauczyło ją, że nie powinna dotykać pewnych miejsc przy świadkach. Ponieważ nie miała własnego pokoju, szybko zapomniła o przyjemności, jaką dawała jej ta zabawa.

Aż do owego popołudnia, jakieś sześć miesięcy po pamiętnym pocałunku. Matka spóźniła się, Maria nie miała nic do roboty, ojciec właśnie wyszedł z przyjacielem, a w telewizji nie było nic interesującego. Zaczęła bacznie przyglądać się swemu ciału w poszukiwaniu jakichś włosków do depilacji. Odkryła mały pączek u góry sromu, zaczęła się nim bawić i już nie mogła się powstrzymać. Stawało się to coraz bardziej przyjemne. Całe jej

ciało - a szczególnie to miejsce, którego dotykała - przeżyło się z rozkoszy. Powoli wchodziła do raju, doznanie przybierało na sile. Poczowała, że widzi przez mgłę, przed oczami wirowały jej złociste iskierki. Wreszcie jęknęła i przeżyła swój pierwszy orgazm.

Orgazm! Rozkosz!

To było tak, jakby wzniosła się do nieba i powoli opadała ku ziemi na spadochronie. Jej ciało było zlane potem, lecz czuła się spełniona, rozpromieniona, naładowana energią. A więc to właśnie jest seks? Cudownie! Można rzucić w kąć pisma pornograficzne, w których wszyscy udają rozkosz, a na twarzy mają grymas bólu. Nie potrzeba mężczyzny, który pożąda ciała, lecz pogardza sercem kobiety. Mogła to wszystko robić sama! Spróbowała od nowa, wyobrażając sobie, że pieści ją znany aktor. Znow sięgnęła raju i zyskała jeszcze więcej energii. Gdy zaczęła się masturbować po raz trzeci, wróciła matka.

Maria poszła poplotkować z przyjaciółkami o swym odkryciu. Tym razem nie przyznała się jednak, że doświadczyła tego po raz pierwszy zaledwie kilka godzin wcześniej. Wszystkie - z wyjątkiem dwóch - wiedziały, o co chodzi, lecz żadna nie ośmieliła się mówić o tym głośno. Maria poczuła się nowatorką, liderką grupy. Wymyślając nedorzeczną zabawę w „intymne zwierzenia”, poprosiła, by opowiedziały o swojej ulubionej metodzie masturbacji. Tym sposobem poznała różne techniki/Na przykład otulać się szczelnie kołdrą w pełni lata (jak twierdziła jedna z dziewczyn, pot ułatwia sprawę), dotykać czułego miejsca gęsim piórem (nie wiedziała, jak to miejsce się nazywa), pozwolić chłopcu, by zrobił to za nią (według Marii nie było to konieczne), wykorzystać kran bidetu (u niej w domu nie było bidetu, ale postanowiła przetestować to przy najbliższej sposobności).

W każdym razie gdy odkryła masturbację i zastosowała kilka technik wypróbowanych przez przyjaciółki, porzuciła myśl o życiu zakonnym. Masturbacja dawała jej wiele przyjemności, a jeżeli wierzyć religii, jest ciężkim grzechem. Od tych samych przyjaciółek dowiedziała się o rzekomych konsekwencjach onizmu: krosty na twarzy, szaleństwo, a nawet ciąża. Pomimo tych zagrożeń nadal oddawała się zakazanej rozkoszy co najmniej raz w tygodniu, najczęściej w środę, gdy ojciec wychodził na karty.

Jednocześnie czuła się coraz mniej pewnie wobec mężczyzn - i coraz bardziej pragnęła opuścić miasto, w którym żyła. Zakochała się po raz trzeci, a potem czwarty, umiała się już całować, umiała pieścić ukochanych i przyjmować ich pieczyoty. Ale zawsze coś stawało im na przeszkodzie i znajomość kończyła się dokładnie w chwili, gdy Maria zaczynała wierzyć, że znalazła człowieka, z którym mogłaby spędzić resztę życia. W końcu doszła do wniosku, że mężczyźni przynoszą tylko cierpienie, kłopoty i rozczarowania. Pewnego popołudnia w parku, przyglądając się jakiejś matce bawiącej się z dwuletnim

synkiem, postanowiła, że będzie nadal brać pod uwagę wyjście za mąż, dzieci i dom z widokiem na morze, lecz nigdy więcej się nie zakocha, gdyż uczucia wszystko psują.

Tak upłynęły jej lata dojrzewania. Maria stawała się coraz piękniejsza, a coś szczególnego w jej twarzy, jakaś tajemnicza melancholia przyciągała wielu mężczyzn. Spotykała się z tym czy tamtym, marzyła i cierpiała pomimo obietnicy, jaką sobie złożyła, że nie zakocha się już nigdy więcej. Podczas jednego z takich spotkań utraciła dziewictwo na tylnym siedzeniu samochodu: pieściła się ze swym przyjacielem żarliwiej niż zwykle, chłopak się podniecił, a Maria, znużona tym, że jest ostatnią dziewicą wśród koleżanek, oddała mu się. W przeciwieństwie do masturbacji, która unosiła ją do nieba, nie doznała nic oprócz bólu, a na dodatek strużka krwi zaplamiła jej spódnice. Nic z magii pierwszego pocałunku, kiedy zobaczyła czaple w locie, zachód słońca, kiedy usłyszała muzykę w oddali...

Kochała się jeszcze z tym chłopcem parokrotnie, ostrzegając, że jej ojciec zabije go, kiedy odkryje, że córka straciła z nim cnotę. Traktowała go jak pomoc naukową, za wszelką cenę pragnąc pojąć, na czym polega owa rozkosz płynąca z aktu płciowego.

Na próżno. Masturbacja wymagała o wiele mniej wysiłku i odpłacała z nawiązką. Ale wszystkie pisma, programy telewizyjne, książki, przyjaciółki, wszystko, absolutnie wszystko podkreślało doniosłą rolę mężczyzny. Maria pomyślała, że ma problemy seksualne, skupiła się pilniej na nauce i zapomniała na pewien czas o tym cudownym i strasznym uczuciu zwanym miłością.

Fragment pamiętnika siedemnastoletniej Marii:

Zrozumieć miłość - oto mój cel. Gdy kochałam, czułam, że naprawdę żyję. Wiem też, że wszystko, co mam teraz, jakkolwiek może się wydawać ciekawe, nie wzbudza we mnie entuzjazmu.

Miłość jednak bywa okrutna. Widziałam, jak cierpią moje przyjaciółki, i nie chcę tego doświadczyć na własnej skórze. Te same, które dawniej naśmiewały się ze mnie i z mojej niewinności, teraz pytają, jak ja to robię, że tak dobrze radzę sobie z mężczyznami. Uśmiecham się i zbywam je milczeniem, ponieważ wiem, że lekarstwo jest gorsze od samego bólu: po prostu nie zakochuję się. Z każdym dniem widzę coraz wyraźniej, jak bardzo mężczyźni są słabi, niestali, niepewni siebie, dziwni... Zdarzało mi się odrzucać awanse ojców niektórych moich przyjaciółek. Wcześniej mnie to gorszyło. Teraz myślę, że to nieodłączna część męskiej natury.

Choć moim celem jest zrozumieć miłość i choć nieraz cierpiałam za sprawą tych, którym oddałam serce, muszę przyznać, że ci, którzy dotknęli mojej duszy, nie rozbudzili

mojego ciała, ci natomiast, którzy dotknęli mojego ciała, nie poruszyli mojej duszy.

Po ukończeniu szkoły średniej dziewiętnastoletnia Maria znalazła posadę sprzedawczyni w sklepie z tkaninami. Właściciel zakochał się w niej - wtedy już potrafiła posłużyć się mężczyzną, nie pozwalając się wykorzystać. Nigdy nie pozwoliła mu się dotknąć, choć zawsze była dla niego czarująca. Zdawała sobie sprawę z siły swojej urody.

Siła urody... Czym może być świat dla brzydkich kobiet? Miała przyjaciółki, na które nikt na tańcach nie zwracał uwagi, z którymi nikt nie rozmawiał. Dziewczyny te przywiązywały dużą wagę do najwątleszego uczucia, jakim je obdarzono, rozpaczały w milczeniu, gdy je odrzucano, i starały się nie budować swej przyszłości na złudnej nadziei, że się komuś spodobają. Były bardziej niezależne, więcej czasu poświęcały sobie, lecz w mniemaniu Marii świat musiał się im wydawać nie do zniesienia.

Maria była świadoma swojej urody. Choć zazwyczaj puszczała mimo uszu przestrogi matki, tej jednej nie zlekceważyła: „Córeczko, uroda przemija”. Dlatego trzymała pracodawcę na dystans, co przyniosło jej znaczną podwyżkę (nie wiedziała, jak długo uda się zwodzić go samą nadzieją, że pewnego dnia pójdzie z nim do łóżka, ale jak na razie dobrze zarabiała), nie licząc premii za godziny nadliczbowe (tak naprawdę wolał mieć ją przy sobie, obawiając się, że gdyby zaczęła wychodzić wieczorami, mogłaby stracić dla kogoś głowę). Pracowała dwadzieścia cztery miesiące bez przerwy, dzięki temu mogła wspomóc rodziców, no i - co za sukces! - zaoszczędziła dość pieniędzy, by zafundować sobie tydzień wakacji w mieście swych marzeń, w mieście artystów, perle Brazylii: Rio de Janeiro!

Szef chciał jej towarzyszyć w podróży i pokryć wszystkie wydatki. Maria skłamała. Powiedziała mu, że matka zgodziła się puścić ją do jednego z najbardziej niebezpiecznych miast na świecie pod jednym warunkiem: miała zatrzymać się u kuzyna, który uprawiał dżiu - dżitsu.

- Poza tym nie może pan tak po prostu zostawić sklepu bez opieki - przypomniała szefowi.

- Nie mów do mnie „pan” - poprosił, a Maria dostrzegła, że w jego oczach tli się coś, co już знаła: iskierka uczucia. Była zaskoczona, bo sądziła, że chodzi mu tylko o seks. A jednak jego wzrok mówił co innego: „Mogę ci ofiarować dom, rodzinę i bezpieczeństwo”. Z myślą o przyszłości, postanowiła podsycać tę iskierkę.

Oświadczyła, że będzie tęsknić za pracą, którą tak lubi, i za ludźmi, których darzy ciepłym uczuciem (nie wymieniła nikogo z imienia, by nie rozwiać mgielki tajemnicy, czy to jego właśnie ma na myśli). Obiecała, że będzie bacznie pilnować portfela i jego zawartości.

Prawda była zupełnie inna: chciała, by nikt, absolutnie nikt nie zepsuł jej pierwszego tygodnia całkowitej wolności. Chciała popływać w morzu, obejrzeć witryny sklepów i pokazać nieznanym, że jest wolna - na wypadek gdyby pojawił się książę z bajki, chętny porwać ją ze sobą w nieznanie.

- Cóż to jest tydzień? - powiedziała, uśmiechając się kokieteryjnie. - Minie szybko i ani się obejrzymy, a będę z powrotem.

Zmartwiony pracodawca jeszcze trochę nalegał, ale w końcu dał za wygraną. Postanowił się oświadczyć zaraz po jej powrocie. Nie chciał popsuć wszystkiego, pozwalając sobie na zbytnią śmiałość.

Maria spędziła dwie doby w autobusie. Wynajęła pokój w hotelu piątej kategorii w dzielnicy Copacabana. (Ach! Copacabana! Bajeczna plaża, błękitne niebo...). Zanim się rozpakowała, chwyciła bikini - ostatni nabytek - wciągnęła je na siebie i choć dzień był pochmurny, poszła prosto na plażę. Ocean napawał ją obawą, ale zdobyła się na odwagę i weszła do wody.

Nikt na plaży nie miał pojęcia, że był to jej pierwszy kontakt z oceanem, z boginią lemanją, prądami morskimi, spienionymi falami i z wybrzeżem Afryki rojącym się od lwów po drugiej stronie Atlantyku. Gdy wyszła z wody, zaczepiła ją kobieta sprzedająca kanapki, potem przystojny ciemnoskóry mężczyzna, który zapytał, czy ma wolny wieczór, oraz cudzoziemiec, który wprawdzie nie znał ani słowa po portugalsku, ale żywo gestykulując, zapraszał ją na kokosowe mleczko.

Kupiła kanapkę, bo nie umiała odmówić. Jednak obu mężczyzn zbyła milczeniem. Poczula, że ogarnia ją smutek. Czemu teraz, gdy mogła wreszcie robić, co dusza zapragnie, zachowywała się tak załośnie? Nie znajdując wytłumaczenia, usiadła na piasku, czekając, aż słońce wyjdzie zza chmur.

Wrócił obcokrajowiec z orzechem kokosowym dla niej. Była zadowolona, że nie musi z nim rozmawiać. Wypiła kokosowe mleczko, uśmiechnęła się, on również odpowiedział jej uśmiechem. To była wygodna forma kontaktu, do niczego nie zobowiązywała - jeden, drugi uśmiech - aż do chwili, gdy mężczyzna wyciągnął z kieszeni miniaturowy słownik w czerwonej okładce i powiedział ze śmiesznym akcentem: *bonita* - ładna. Uśmiechnęła się znowu. Szczerze mówiąc, wolałaby spotkać nieco młodszego i mówiącego w jej języku księcia z bajki.

Kartkując słownik, mężczyzna wydukał:

- Kolacja dziś? - I zaraz dorzucił: - Szwajcaria!

Po czym wypowiedział słowa, które niemal w każdym języku brzmią niczym chóry

sambę. Jeżeli on ma poważne zamiary, domagaj się umowy - z podpisem uwierzytelnionym przez konsulat szwajcarski - zanim opuścisz kraj. Jutro będę na plaży przed hotelem. Przyjdź do mnie, gdybyś miała jakieś wątpliwości.

Szwajcar z uśmiechem wziął ją za rękę i zaprowadził do czekającej przed hotelem taksówki.

- Gdyby jednak jego zamiary były inne, to pamiętaj, że stawka za jedną noc wynosi trzysta dolarów. Pod żadnym pozorem nie bierz mniej - rzucił Mailson na odchodne.

Zanim zdołała cokolwiek z siebie wydusić, jechała już z obcokrajowcem do restauracji. Ich rozmowa ograniczała się do minimum: Pracować? Dolar? Brazylijska gwiazda?

Maria rozmyślała jeszcze nad tym, co powiedział Mailson: trzysta dolarów za jedną noc! Ależ to istny majątek! Nie musiała żywić płomiennego uczucia, mogła uwieść tego mężczyznę, tak jak uwiodła swojego pracodawcę, wyjść za mąż, mieć dzieci i zapewnić rodzicom dostatni byt na starość. Cóż miała do stracenia? On nie jest już pierwszej młodości, może niebawem umrze, a ona odziedziczy po nim wielki majątek. Podobno Szwajcarzy śpią na złocie, ale wygląda na to, że w ich kraju brakuje kobiet.

Podczas kolacji rozmowa niezbyt się kleiła. Wymienili parę zdawkowych uśmiechów. Maria powoli zaczynała rozumieć, co znaczyła „kwestia przepływu energii”, a mężczyzna pokazał jej katalog, w którym były wycinki z gazet w jakimś obcym języku, zdjęcia kobiet w bikini (bez wątpienia bardziej śmiałych niż to, które nosiła dziś na plaży), kolorowe broszury reklamowe, w których jedynym zrozumiałym dla niej słowem było „Brazil”, napisane z błędem ortograficznym (czyż nie uczono jej w szkole, że pisze się przez s?). Dużo piła, na wypadek gdyby Szwajcar złożył jej nieprzyzwoitą propozycję (nikt nie pogardzi trzystoma dolarami, a odrobina alkoholu znacznie ułatwia sprawy, zwłaszcza kiedy nie ma w pobliżu nikogo znajomego). Lecz ten mężczyzna zachowywał się jak dżentelmen, przysuwał jej krzesło, gdy siadała, i odsuwał, gdy wstawała. Pod koniec wieczoru, udając zmęczenie, zaproponowała spotkanie na plaży następnego dnia (pokazując godzinę na zegarku, naśladując dłonią ruch fal, bardzo powoli i wyraźnie wymówiła słowo „jutro”). Wydał się zadowolony, również spojrzął na swój zegarek (pewnie szwajcarski) i dał jej do zrozumienia, że godzina mu odpowiada.

Tej nocy źle spała. Śniło jej się, że to wszystko było tylko snem. Obudziła się. Ale to była prawda. Na krześle w jej skromnym hotelowym pokoju rzeczywiście wisiała suknia, obok stała para pięknych pantofli, a za kilka godzin czekało ją spotkanie na plaży.

kojarzyły się jej ze smutkiem, z samotnością i tęsknotą za Brazylią.

Lecz tego wieczoru szła na spotkanie samej siebie, na spotkanie kobiety, która przez trzy kwadranse siedziała przy kominku w towarzystwie drogiego jej mężczyzny, kobiety pełnej wewnętrznego blasku, mądrości, doświadczeń i zachwytu nad światem. Marii mignęła już ta twarz owego dnia, gdy przechadzała się nad jeziorem i głowiła nad tym, co ze sobą począć. Wtedy na twarzy tej gościł smutny uśmiech. Po raz drugi zobaczyła tę kobietę na płótnie malarza. Teraz czuła znowu jej obecność. Złapała taksówkę dopiero wtedy, gdy ta tajemnicza postać zniknęła.

Fragment pamiętnika Marii napisany tej nocy, kiedy Ralf podarował jej wagonik elektrycznej kolejki:

Co sprawia, że właśnie ta kobieta i właśnie ten mężczyzna chcą się do siebie zbliżyć? Co sprawia, że budzi się w nich pożądanie? To tajemnica. Kiedy ich pożądanie jest jeszcze niczym nie skalane, przeżywają każdą sekundę z namaszczeniem, w pełni świadomi, wyczekując najbardziej dogodnej chwili, by przyjąć błogosławiony dar losu.

Ci, którzy zaznali takiego pożądania „w stanie czystym”, nie przyspieszają pochopnie biegu wypadków. Wiedzą, że to, co nieuniknione, nadejdzie, że to, co stać się musi, zawsze znajdzie sposób, by zaistnieć. A kiedy ten moment nadchodzi, nie wahają się, nie tracą okazji, nie pozwalają umknąć ani jednej cudownej chwili, potrafią uszanować doniosłość każdej sekundy.

Maria zdała sobie sprawę, że znów wpadła w pułapkę. A przecież tak długo siłą woli udawało jej się unikać podobnych niebezpieczeństw. Teraz, gdy to się stało, nie była jednak ani smutna, ani zaniepokojona. Przeciwnie, poczuła się wolna - nie miała już nic do stracenia. Choć ich spotkanie było bardzo romantyczne, wiedziała, iż pewnego dnia Ralf Hart przypomni sobie, że ona jest tylko prostytutką, a on szanowanym artystą; że ona pochodzi z kraju położonego na drugim krańcu świata, wiecznie pogrążonego w kryzysie gospodarczym, a on mieszka w raju, w którym życie każdego obywatela jest zorganizowane i chronione, począwszy od chwili jego przyjścia na świat. On chodził do najlepszych szkół, zwiedził największe muzea świata, a ona ledwie ukończyła szkołę średnią. Wiedziała też, że sny pryskają jak bańki mydlane. Żyła dostatecznie długo, by przekonać się, że marzenia i rzeczywistość to dwie sfery trudne do pogodzenia. Teraz cieszyło ją najbardziej to, iż może powiedzieć rzeczywistości, że już jej nie potrzebuje, a jej szczęście nie zależy od tego, co się wydarzy. Boże, ależ stała się romantyczna!

Tak, bardzo chciała. Ralf trzymał w ręku bukiet róż, oczy miał pełne blasku, tego samego, który dostrzegła pierwszego dnia, gdy malował jej portret.

- Jakim cudem znalazłeś się tu przede mną? - spytała zaskoczona. Jego odpowiedź nie miała najmniejszego znaczenia, lecz potrzebowała trochę czasu, by wziąć się karby.

- Na lotnisku w Genewie widziałem, że coś czytasz. Mogłem podejść do ciebie, ale jestem romantykiem, nieuleczalnym romantykiem i pomyślałem, że lepiej będzie skorzystać z pierwszego lotu do Paryża, powąłęsać się po lotnisku, poczekać trzy godziny, sprawdzać w kółko rozkład lotów, kupić ci kwiaty, wypowiedzieć zdanie, które Ricky mówi swojej ukochanej w Casablance, zobaczyć zaskoczenie na twojej twarzy, upewnić się, że jednak na mnie czekałaś. A poza tym nic nie szkodzi być tak romantycznym jak w kinie, prawda?

Nie wiedziała, szkodzi czy nie, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Wiedziała natomiast, że kochali się po raz pierwszy kilka godzin wcześniej, że została przedstawiona jego przyjaciółom poprzedniego dnia, wiedziała również, że bywał w nocnym lokalu, gdzie pracowała, i że był dwukrotnie żonaty. Nie były to nieskazitelne referencje. Ale też miała pieniądze, by kupić wymarzoną farmę, młodość przed sobą, spore życiowe doświadczenie, dużą duchową niezależność. A skoro do tej pory wyborów dokonywał za nią los, pomyślała, że może zaryzykować raz jeszcze.

Nie obchodziło jej już, co dzieje się po tym, jak na ekranie pojawia się napis „koniec”. Pocałowała Ralfa. Jeżeli kiedyś zechce opowiedzieć historię swego życia, zacznie ją jak bajkę: *Była sobie raz prostytutka...*

Od autora

Jak chyba wszystkim - w tym akurat przypadku uogólniam bez wahania - zajęło mi trochę czasu odnalezienie uświęconego sensu seksualności. Moja młodość przypadła na czasy skrajnej swobody seksualnej, odkryć i wybryków, po których nastąpił okres ascetyzmu i pokuty - trzeba było zapłacić cenę za lata rozpusty.

W czasie tej dekady swawoli, przypadającej na lata siedemdziesiąte, Irving Wallace wydał powieść o cenzurze w Stanach Zjednoczonych. Opisał w niej machinacje wymiaru sprawiedliwości mające doprowadzić do zakazu publikacji książki na temat seksu zatytułowanej *Siedem minut*.

W powieści Wallace'a rękopis książki stanowi jedynie pretekst do dywagacji na temat cenzury, motyw seksu jako takiego pojawia się rzadko. Często zadawałem sobie pytanie, jak mogłoby wyglądać to dzieło. A gdybym podjął się jego napisania?

Tak się jednak składa, że w swej powieści Wallace często przytacza ten fikcyjny rękopis, co sprawiło, że wykonanie tego zadania stało się niemożliwe. W pamięci zachowałem tylko tytuł (notabene uważam, że Wallace bardzo ograniczył ten czas, co pozwoliłem sobie nieco zmienić) oraz pogląd, że o seksie należy mówić poważnie - co zresztą zrobiło już wielu pisarzy.

W 1997 roku, wkrótce po spotkaniu z czytelnikami w Mantui, w recepcji hotelu, w którym się zatrzymałem, ktoś zostawił dla mnie rękopis książki. Zazwyczaj nie czytuję rękopisów, ale ten przeczytałem jednym tchem. Była to historia brazylijskiej prostytutki, jej perypetie, kłopoty z prawem. W 2000 roku, będąc przejazdem w Zurychu, skontaktowałem się telefonicznie z tą kobietą, która przybrała pseudonim Sonia. Powiedziałem jej, że tekst mi się spodobał, i poradziłem, by wysłała go do mojego brazylijskiego wydawcy, który jednak nie zdecydował się go opublikować. Sonia przyjechała do Zurychu i zaprosiła nas - mojego przyjaciela, reporterkę z dziennika „Blick”, która właśnie przeprowadzała ze mną wywiad, i mnie - na Langstrasse w tamtejszej dzielnicy „czerwonych latarni”. Nie miałem pojęcia, że Sonia uprzedziła swoje koleżanki o naszej wizycie, i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu przyszło mi podpisywać tam moje książki w wielu językach.

Już wtedy podjąłem decyzję pisania o seksie, ale nie miałem jeszcze ani fabuły, ani głównego bohatera. Myślałem o historii ukierunkowanej na poszukiwanie świętości, lecz to spotkanie na Langstrasse olśniło mnie: aby pisać o uświęconym wymiarze seksu, trzeba najpierw zrozumieć, dlaczego jest tak często bezczeszczone.

Zapytany przez dziennikarza szwajcarskiego pisma „L'Illustre”, opowiedziałem mu anegdotę o zaimprovizowanym podpisywaniu książek na Langstrasse, co zaowocowało

wielkim reportażem na ten temat. Po opublikowaniu tego reportażu pewnego popołudnia w genewskiej księgarni, gdzie rozdawałem autografy, pojawiło się wiele prostytutek z moimi książkami do podpisu. Jedna z nich szczególnie przykuła moją uwagę i wraz z moją agentką i przyjaciółką, Monicą Antunes, zaprosiliśmy ją na kawę, która przerodziła się w kolację i w kolejne spotkania przez następne dni. Tak zrodziła się myśl przewodnia *Jedenastu minut*.

Chciałbym podziękować Annie von Planta, mojej szwajcarskiej wydawczyni, za niezmiernie ważne informacje dotyczące sytuacji prawnej prostytutek w jej kraju, jak również następującym kobietom z Zurychu (są to oczywiście ich pseudonimy): Soni, którą już znałem z Mantui (może pewnego dnia kogoś zainteresuje jej książka!), Marcie, Antenorze i Isabelli, oraz z Genewy (również pseudonimy): Amy, Lucii, Andrei, Yanessie, Patrick, Theresie i Annie Christinie.

Dziękuję także Antonelli Zara, która pozwoliła mi wykorzystać fragmenty swej książki *Nauka o namiętności*, by wzbogacić niektóre partie pamiętnika Marii.

Wreszcie dziękuję Marii (pseudonim), która mieszka dziś w Lozannie, jest mężatką, ma dwie córki. To ona podzieliła się ze mną i Monicą swoją historią, będącą kanwą tej książki.

Paulo Coelho